

HENRYK W. GAJEWSKI

# Władca Czasu

Napisał: Henryk W. Gajewski

ilustrował: Cyprian Kościelniak

Od redakcyjnych szaf zalatywało kurzem i... czymś jeszcze. Taki nieokreślony, lecz charakterystyczny i przede wszystkim doku-  
czliwy zapaszek. Dlatego naczelny redaktor,  
pan Tekstowicz, uchylił okien. I wówczas do  
redakcji wszedł letni skwar. Jedyń gość, któ-  
ry nie zawodził nigdy, a przynajmniej od  
czasu, gdy uczeni nareszcie skorygowali kąt  
nachylenia osi ziemskiej, i od dnia, w którym  
Warszawa znalazła się pod 23° szerokości geo-  
graficznej północnej. W ślad za upałem we-  
pchnęły się bąble naozonizowanego powietrza.  
Nawiewał je zefir wprost z Miejskiej Stacji  
Klimatycznej – Sekcja Uszlachteniania At-  
mosfery. Naczelny łapał ten wiatr pełną pier-  
sią. A potem ustawił nos w kierunku najodle-  
głego kąta gabinetu i zawężył kilkakrot-  
nie. Skonstatował od razu: woń wydzielająca  
się znikąd nie ustępowała w żaden sposób. Nie  
stłumiło jej nawet powietrze preparowane  
w agregatach do klimatyzacji. Ale to coś zala-  
tujące znikąd i zewsząd nie było zaduchem  
właściwym dla rupieciarni, dla stert papie-  
rzych nagromadzonych na półkach, lub źle

przewietrzanych izb. Tekstowicz poznał się na  
tym już onegdaj. Dziś szepnął do siebie z lu-  
bością:

– Oto tak, właśnie tak pachnie czas. A woń  
jego jest dowodem. Jest logicznym dowodem  
na materialną naturę czasu. I to uchwytnym  
dowodem. A co ważne: dającym się wykrywać  
jednym z elementarnych zmysłów człowieka.  
A gdyby tak jeszcze udoskonalić ten zmysł?...  
a raczej wytrenować na wzorcach... – monolo-  
gował półgłosem. – Ba... ale młodź nasza nie  
pojmuję tego... o nie! Zapatrzyl się oni na  
komputerowanie: język przyszłości – językiem  
maszyn myślących, logika godna przyszłości –  
logiką maszyn myślących. A przecie elektroni-  
czna logika to... to... oczywista bzdura... to  
już anachronizm, z XX wieku, i wlecze się  
to-to jak kula u nogi – zirytował się nie wie-  
dzieć na kogo.

Zaczął przechadzać się wokół biurka. Ale  
nie przestawał mamrotać.

– Nic innego, jak tylko elektrodowe liczy-  
dła. Tyle akurat myślące, ile myślały kamyki

w starogreckim abaku. Słowem: komputerobzdura i scalone nonsensy, i kwita. Bo kudłaty homo faber, z maczugą nabijaną krzemieniami, liczył tak samiuśko genialnie: biegle rachował do dziesięciu, za pomocą dziesięciu szponów przednich kończyn. Nie zauważał bowiem drugiej dziesiątki szponów u kończyn zadnich. Ale ba... wymyślił komputer; maszynę... no, nic zarzucić, nic przyrzucić.. rachuje w poszerzonym zakresie. Kto jednak pamięta: ile to liczy sobie części składowych i podzespołów, ile milionów połączeń, ile kropelek układów scalonych i w ogóle... ile omyłek i błędów popełnia w jednej minucie, ile potem operacji, by zawrócić na właściwy kierunek. A dlaczego nikt nie wspomni o tym? A dlatego, że jakiegokolwiek porównywanie komputera z człowiekiem wypadnie zawsze z korzyścią dla... człowieka. Ale mówi się tymczasem: komputer naszą dumą! Sukces doskonałości ludzkiego geniuszu! Dzieło przerosło twórcę! Model przyszłości powoła świat do istnienia! Oczywiście, gdyby ten świat zamortyzował się u progu nieskończoności. Lub... gdy uwielbienie idola techniki, iście złotego cielca z XXI wieku, przysłoni oczy rozsądku.

Wtem zawołał ktoś od progu:

– Brawo, brawo, znakomicie!

A słowem tym towarzyszyły jednocześnie przyciszone oklaski. Spozstrzegł się wówczas naczelny, że nie jest sam. Oklaski wyszły od męskich dłoni interesanta, który, nie przestąpiwszy progu, wsłuchiwał się w owo głośnie myślenie. Zachnął się naczelny, zatrzasnął okno, wskazał krzesło przybytemu. I dopiero potem zasiadł wygodnie w fotelu za biurkiem.

– Co sprowadza pana do nas? – zagadnął dobrotliwie, albowiem już nasza go zwyczajna pogoda ducha. Tekstowicz był przecież człowiekiem dobrodusznym; przychylnie pojmował życie. Niepokoił się tylko problemem czasu. To znaczy: istotą czasu jako cząstek materii. I teraz, gdy zwąchał, że czas jest na swoim miejscu, przyjaźnie spojrzął na porannego petenta. Koniec końców był to niecodzienny gość w ostatnich tygodniach. Bo nowa twarz była w redakcji wręcz zjawiskiem.

– Ja... bo... przy... przyszedłem... z pro... z propo... pozycją – wyjąkiwał z siebie przyby-

ły. Snadź dusił w sobie treść, która dławiała go za gardziel, w odwet za śmiałość naprzykrzania się redaktorowi. I tak borykali się: to brał górę człowiek, innym razem trema, na przemian. Stąd właśnie wywiodło się zacinanie w mowie.

Ale redaktor naczelny już przywykł do widoku rozmaitych ludzi. I do dziwaków, i do pomyleńców, i do maniaków. Ludzie tego pokroju zawsze nachodzili, nachodzą i będą nachodzić redakcje. Dlatego nie dziwił się, starał się za to zachęcić młodego człowieka do zwierzeń:

– Niechże pan opowiada, ja przecież słucham. – Jednocześnie sprawdził wszechobecność czasu. A nos posłużył za sprawdzian jak zawsze, i zapewnił Tekstowicza o bytowaniu czasu w rzeczywistości. A potem rozparł się Tekstowicz wygodnie, za biurkiem, aż upodobnił się do znanego posągu dłuta A. Rena „Zasłuchany w harmonię elektronów”.

– Bo ja... skonstruowałem – oświadczył przybysz, tym razem gładko, opanowując trapiące uczucie tremy – a teraz przyniosłem, bom sobie pomyślał: a nużby się przydało do numeru. Zechce pan spojrzeć.

I tu podsunął przed oczy redaktora płaską kasetkę, którą zawczasu wyfuskął z kieszonki wzorzystej kamizelki. Tekstowicz przyjął podany przedmiot, uchylił przemyślnie zatrzaśnięte wieczko i ciekawie zerknął do wnętrza. Kryło się tam pięć płaskich kryształów, o wielkości i kształcie zbliżonym do zdawkowej monety. Wszystkie spoczywały na podściółce z waty.

– Oto wysublimowany czwarty stan materii – podjął przybysz. – Znajduje się w spoczynku. Po prostu: nic się nie dzieje. Ale da się, za jego pomocą, zmodulować pola energetyczne człowieka do przeżyć przechodzących pospolite ludzkie pojęcie. I przeżycia te będą rzeczywiste, jakkolwiek ciało fizyczne pozostanie w letargicznym bezwładzie. Bo wywędruje z niego oddwojona jaźń, niejako jeden z elementów dwoistości: materia w stanie stałym, materia w stanie energetycznym, które to składają się na żywego człowieka. Wędrówka ta jest programowana, nie wyklucza jednak momentu własnej woli. Oddwojona osobowość

zachowa bowiem zdolność do czynu wedle upodobania. Należy jednak zapamiętać: wyniesione z transu dokonania i doznania będą prawdziwe, dlatego istnieje tu granica osobistego ryzyka. Ale w zamian może osobowość wynieść dowolną wartość materialną z wędrówki po rzeczywistościach i czasach. Aby jednak rozdziwić dualizm człowieczy, potrzebny jest jeszcze translukator pól energetycznych człowieka – tłumaczył przybysz. I po chwili wydobył z teczki coś, co przypominało kombinację telewizora z długim teleobiektywem. – Proszę, oto jest.

A wtedy zadumał się Tekstowicz, ponieważ nie widywał nigdy energii skompromowanej w monolit. Pomyślał nawet: siedzi przed nim szaleniec. Jednakże dziennikarska dociekliwość przewyciężyła ludzką niewiarę.

– Zapoznamy się z propozycją, naradzimy – powiedział. – A na odpowiedź proszę czekać: dogadamy się listownie.

Młody oferent zgodliwie skłonił głowę. Tymczasem Tekstowicz wydlubał jeden z krążków, osadził w gniazdo translukatora, włączył prąd, a kiedy przymknął powieki, wówczas czynna aparatura poniosła redaktorską jaźń w inny niż codzienność, jak zakłęty świat. I w tej rzeczywistości, na pograniczu jaźni i wyobraźni, która silnie przemawiała namacalnością realiów, snuł się wątek somnambulicznej historii. Tekstowicz przemierzał bowiem zaułki arabskiego jarmarku, jakby uprzednio zlał własną osobowość z osobowością tłumy, który tropi ślad czegoś, czego nie umie nazwać. Po prostu goni bezsens pozorny, jakkolwiek wie, że bezsens ów jest sensem, lecz też pozornym. W poszukiwaniu penetrował kosze przekupni, okiem przenikał czarzały zakwefionych kobiet. A wyobrażenia okazały się tak żywe i tak oszałamiające, jakby wstrzyknięto mu dużą dawkę halucynogenów. Jeszcze tylko wyczuł znajomą woń czasu, po czym ocknął się z doznań.

– I po co tyle ekspresji? – zawołał. – Tego nie zniesie i nie przetrawi żaden z czytelników. A gdyby nawet i wytrzymał, to nie wiem, czy w domu nie przepalają się bezpieczniki wskutek przeciążeń.

– Proszę translukować się nadal – powie-

dział zawstydzony autor, któremu zganiono przerysowania dzieła. A głos jego krył w sobie tyle samo prośby, ile nakazu podbudowanego sugestywnym uporem wynalazcy. Nie dziw zatem, że Tekstowicz poddał się działaniu aparatury bez protestu. Ruszył więc pokrętlami, aż włączył się w obwód inny niż poprzednio. Nieco dalej, niż należałoby. I teraz przeniół się pod niebotyczne szczyty skalnego masywu. Wiodła tam droga poprzez piargi, dziką i nagą przełęczą, skąpawo poznaczoną wiechetkami kosodrzewiny. A kiedy zmęczony przysiadł na głazie, wtedy góry tańczyły i chciały upaść mu na głowę. W dali wyolbrzymiał się najwyższy ze szczytów świata. Jaśniał w słońcu koroną ze śniegu i lodu. I także następował, a groził, że pogrzebie Tekstowicza w rumowisku skalnych odłamów. Lecz nie zatrwożył się redaktor – o nie! Z przezorności wtulił tylko głowę w ramiona i wpełził pod skalny nawis, który utworzył rodzaj okapu lub skalnej półki, kryjącej zatarasowane głazami wejście do groty. A tutaj, na spągu, odkrył Tekstowicz ślady stóp. Jakby dopiero co ktoś przechodził. Ktoś, kto był bosy, i miał zmoczone stopy. Wiodły te ślady w głąb groty. Wiodły upadem. U końca czeluści pełgało jasnioletowe światelko – niechybny znak ludzkiej obecności. Zaintrygowany tym redaktor podążył za świetlnym drogowskazem. I to wbrew intencjom programu i logiki. Albowiem odniósł wrażenie, jakoby potrząsał go ktoś za ramię i jednocześnie zaklinał na wszystkie prawa fizyki, no i nakazywał iść za wątkiem utrwalonym w komprimacie. Aliści nie usłuchał Tekstowicz, ni rady, ni prośby. Wręcz odrzucił natarczywy rozsądek, po czym wzmocnił prądy urealnijające doznania. Wnet zatem znalazł się u wejścia do wysoko sklepionej pieczary. Wnętrze groty wypełniały urządzenia o nieznanym przeznaczeniu. Ale pod jedną ze ścian odkrył znajomy kształt. Był to rodzaj półki. A na niej, uszeregowane w rzędy, stały pojemniki. Widok ów przypominał bibliotekę lub magazyn próbek. A raczej ten ostatni. Pojemniki wyglądały mu na butle z gazem. Zdjął zatem jedną z półki. Uważne oględziny ujawniły sterczący z boku wylot rurki opatrzonej zaworem. Wówczas delikat-

nie obwąchał ów wylot. Zdawał przecież sobie sprawę, że na świecie nie znajdziesz zaworów szczelnych naprawdę, bo zawsze przesączy się i ulotni odrobina gazu, lekceważąca siebie i grzybek, i gwarancję producenta. I teraz także nie pomylił się w przypuszczeniach. Wyraźnie poczuł bowiem dobrze znany, lecz nikły zapach. To pachniał czas. Aby więc potwierdzić domysły, które wywodził z jednego doświadczenia, kolejno obwąchał zawory u zmagazynowanych butli. I zaraz się połapał: uchodzące zapachy różniły się w różnym stopniu. Z łatwością odgadywał epoki, wieki, lata, z których pochodził czas zamknięty w pojemniki. Zapewne było to muzeum czasów – utrzymywał w myśli.

Nareszcie skończył obwąchiwanie, po czym usiadł przy pulpicie wyciosanym z jednego bloku szkła. Był to pulpit dyspozytorski. Przemawiały za tym rozliczne, w masę powtapiane kule barwionego światła i przyciski. Wszystko to stało jednak opuszczone, nieczynne, zastygłe w czasie. Lecz redaktor zrozumiał już: to pozory. Wiedział, że ma przed sobą maszynę w ruchu jałowym, jak w uspieniu, że dość ruszyć jeden z przycisków, a urządzenie zacznie działać. Jednakże nie domyślił się zagadkowego przeznaczenia tej maszyny. Nie ważył się zatem ruszyć niczego bądź, żeby nie napaść sobie biedy.

Wpierw wypoczął, później zajął się metodycznym badaniem zakątków jaskini. Niedługo potem, w przyćmionym zakamarku, odkrył posąg wykuty z metalu. Był wyobrażeniem korpulentnego człowieka o myślącym obliczu i oczach osadzonych w głębi dużej, lecz kształtnej głowy. Oczy te były skośne – spostrzegł to natychmiast, jakkolwiek część twarzy przysłaniała panoramiczna maseczka. A w ogóle, to całą figurę opinały pancerne blachy, spojone tak dokładnie, że dawały pozór jednolitości materiału. Od postaci bił seledynowy odbłask. Lecz najciekawsze odkrycie przytrafiło się dopiero na ostatek. Oto dokładniejsze obserwacje wykazały przewód zwisający z małego pudełeczka. Uczępione do łańcuszka przewieszają się przez ramię posągu.

Zaciekawiony odczepił ów przedmiot, po czym obwąchał starannie; także pachniał cza-

sem, a dokładniej mówiąc: bił odeń zapach przemieszanych czasów: od tego najwcześniejszego, z zarania ludzkości, do czasu przyszłości, która nie nadeszła jeszcze, a która nastąpi, gdy nastanie jej pora. I dopiero wtedy zrozumiał, jak cenny posiadał skarb. Niepozorne pudełeczko okazało się generatorem czasów. Posługując się nim, można wytwarzać czas w dostatecznych ilościach i odpowiednim gatunku, ponieważ emanowało czas w zależności od ustawienia pokręteł.

– A jednak czas jest materia! – zakrzyknął, czym wzbudził pod sklepieniem gromkie echa. Powtórzyły za nim: ...jest materia... materia... ją... ją...

Ale rozbudził nie tylko echo. Bo oto objawiła się czarna postać. Stała do światła jak cień. Była żywa, jakkolwiek wyszła znikąd. Nareszcie stanęła przed nim jak oman. Wtedy zobaczył człowieka śniegów – Yeti. Stali tak chwilę, oko w oko, jak uosobienia dwu generacji. Aż w końcu Yeti zrzucił z grzbietu włochate skóry. Przedzierzgnął się wtedy w postać upodobnioną do poznanego już posągu. „Identyczni jak dwa atomy wodoru” – oszacował Tekstowicz. Na wszelki wypadek obejrzał się, bo... nie dowierzał własnym zmysłom. Nie był pewien, czy nie ożyła figura z metalu. Lecz nie... stała jak przed chwilą. Tymczasem figuropodobny osobnik odezwał się ludzkim, w dodatku rozumiałym językiem:

– Azaliż godzi się to pożądać rzeczy bliźniego swego?

– Ktoś ty? – spytał Tekstowicz. – A przez myśl przemknęły mu obrazy z dzieciństwa, przypomnienia z baśni o strażniku ludzkich losów, mit o podziemnej siedzibie ksiąg sybillińskich i nawet o Sybilli, której inkarnację w męską postać teraz oglądał na własne oczy.

– Ziemianin... a lepiej: jestem zakończeniem ewolucji gatunku, który sobie podporządkował czas – odpowiedział mieszkaniec grotu.

– Przemawiasz dziwnym językiem.

– Bom poplątał czasy. Ale zaraz się naprawię: przesunę się po prostu w czasie do stulecia mowy twojej i twoich ziomek.

Chwilę manipulował przy pudeleczku identycznym jak to, które zrabował Tekstowicz, i teraz kurczowo zaciskał w garści.

– Umiesz wykrywać czas – powiedział przybyły. – Ale umiejętność ta to bardzo mało. Doszedłeś do sformułowania natury czasu drogą rozumowania i ograniczonych doświadczeń. Niemniej wydedukowałeś poprawnie. I zdajesz sobie sprawę z istotnej zasady: czas jest materialny, ale nazywanie czasu czwartym wymiarem jest omyłką. Czas to materia i jej formy. Lepiej byłoby mierzyć go ułamkiem  $-273,16^{\circ}\text{C}$ , niż w sekundach. Ale dojdiesz do tej prawdy z upływem lat. A wtedy... wyrobisz sobie nawyk i umiejętność sterowania przemianami form czasu; przestaczania czasu w dowolny z wybranych elementów jego natury.

Tekstowicz wsparł głowę na przejrzystej bryle pulpitu. Zadumał się głęboko. Pod czaszką miał hulający mętlak zagonionych myśli.

– Nie dziw się temu – ponowił opowiadanie magazynier czasu. – Dopiero nauczyłeś się pojmować czas jako materię, ale technologia transformowania czasu, jego przemian ilościowych i jakościowych, jest ci obca. Chwilami ty także utożsamiasz czas z czwartym wymiarem – a więc pudłujesz sromotnie; pierwociny twojego rozumowania są chybione. A szkoda. Tymczasem cząsteczki czasu krążą wzdłuż krzywej, której końce zbiegają się w nieskończoności. Tworzą obwód czasu. A doskonałym modelem obwodu byłby liść Möbiusa – czyli papierowa wstęga, której końce skrócono o  $180^{\circ}$ , przed ich sklejeniem.

Tekstowicz zaprzeczył jednak:

– Prosta nakreślona na wstędze przebiegnie równocześnie po obu stronach. Jakież więc w tym związek z obwodem?

– Czas przebiega dwutorowo – wyjaśnił magazynier. – Jednocześnie krąży dla ciebie i wszystkich żyjących. Ale twój, indywidualny obwód, nie krzyżuje się z wypadkową czasu absolutnego. Wszystkie składowe krążą bowiem po niezależnych, tylko wektorowo zgodnych orbitach czasu.

– A jaki pożytek z tego? Czyżby udawało się przemieniać bieg czasu? – zapytał Tekstowicz głosem nie przekonanego jeszcze człowieka.

– Utrafiłeś nareszcie: czas daje się powodować sobą. A na modelu wygląda to w ten sposób: dość wyciąć fragment wstęgi Möbiusa, by zmniejszyć obwód. I teraz wystaw sobie

– każemy czasowi żniwnemu zataczać kółko bez przestanku. Niech pobiega w miejscu jak pies za własnym ogonem. Żniwa potrważą wówczas okrągły rok. A przez to powiększą się wielokrotnie zbiory; raz na zawsze zniknie widmo głodowej klęski. I nie wspomnę tu o sekrecie wiecznej młodości, nieśmiertelności i wielu, wielu problemach trapiących ludzkość od kolebki.

– To zakrawa na panowanie nad światem! – zakrzyknął zdumiony redaktor. Mieszkaniec grotu uśmiechnął się.

– Przemawia przez ciebie duch epoki. Twojej epoki. A zapominasz o jednym: rozwój myśli twórczej równo znaczy z postępem rozwoju społeczeństw. Czas przebiega wielotorowo, ale wielotorowość jest wypadkową składowych czasów... torów indywidualnych dla każdego atomu, każdego kwantu wszechświata. Dlatego dobro jednego człowieka staje się wspólnym dobrem świata. Czas przychodzi na wszystko.

– A czy by nie dało się przyspieszyć tej chwili?

– Bez wątpienia, przecież to kwestia wielkości obwodu. I temu właśnie celowi służy generator, który sobie przywłaszczyłeś.

Tekstowicz spoglądał z niedowierzaniem.

– Podziałka na nim – strzelasz ku niej okiem – jest wskaźnikiem czasów. A system barw, uszeregowany zgodnie z porządkiem widma światła białego, zastępuje system liczbowy. I tylko ruch pokrętła pozwala modulować czasy.

– Ależ to wehikuł czasu ze świata science fiction – wybuchnął Tekstowicz.

– Niecałkowicie, w ogóle nie – zaśmiał się jaskiniowiec. – Wspomnij marzenia waszych fantastów: roili przecież o transponowaniu człowieka w przyszłość, bądź w przeszłość, i owszem, lecz były to mrzonki, nic więcej. – Potrząsał głową z politowaniem. – Bo i pomyśl o opłacalności przedsięwzięcia wędrowki w czasie. Zastanów się, po co marnotrawić energię na przenoszenie skupiska zdezewelowa-



nych atomów ludzkiego ciała i czekać, aż transponowane pokręca reumatyzmy. To absurd! Nie ma w tym metody! Czy nie lepiej transponować nieważką energię psychotroniczną, która jest ponadmaterialna i ponadczasowa, jakkolwiek ulega działaniu bodźców klasycznej fizyki? Ciało astralne, opuściwszy ciało fizyczne, przemieszcza się w czasie z prędkością ponadświatłą, niemal absolutną. Czy wiesz, co to oznacza? To znaczy, że w okamgnieniu jesteś w stanie przeistnieć czas od problematycznego zarania świata do mniej problematycznego końca świata. Być świadkiem formowania się galaktyk, rozszerzania się wszechświata, w kierunku do...

Ale Tekstowicz już nie słuchał. Knował za to zuchwały zamysł: wejść w posiadanie generatora czasów – przyrządu pozwalającego uformować obwód czasu. Wpierw jednak poprosił:

– Podaruj mi to.

– Za wcześniej, Społeczeństwo, w którym wegetujesz, jeszcze nie dorosło do racjonalnej gospodarki czasem. Nie umie nawet korzystać i oszczędzać czasu w warunkach, jakie mu dano. W utarczkach o prawo dysponowania czasem doprowadzilibyście do... katastrofy sprzed 12 000 lat. Jak za moich czasów, gdy przedwczesne odkrycie spowodowało zagładę mojego świata – świata Atlantów.

– I tak czy owak wrócę do społeczeństwa z rewelacją, która mi zapewni...

– ...celkę w zakładzie psychiatrycznym. Bo i kto uwierzy w twoją relację? Będzie lepiej dla ciebie, gdy wrócisz tam, skądś przybył, i przemilczysz naszą rozmowę – przekonywał dobroliwie jaskiniowiec. – Wracaj... życzę ci dobrze.

Ale propozycja magazyniera czasu nie odpowiadała Tekstowiczowi, który już postanowił, że musi mieć generator na własność. Zawsze, jeśli ubrał sobie cokolwiek, wolał walki o realizację zaćmiewała inne uczucia.

– Zabiorę! – zapowiedział z mocą w głosie.

– Ejże! – roześmiał się magazynier czasu i nieznacznie unióś dłoń. Nie zdziałał wszakże niczego więcej. W Tekstowiczu zagrała krew przodków, bohaterów wojen feudalnych, kiedy to w pojedynkę rzucali się na całe watahy wrogów – zebrawszy więc siły, cisnął się ciężarem swego ciała pod stopy przeciwnika nie

oczekującego ataku. Była to walka z cieniem. Zapasy z astralnym ciałem istoty, której ciało fizyczne spoczywało w metalowym ekranie chroniącym od zakłóceń i niepożądanych bodźców. I już nie było mowy o walce. Astralne ciało jaskiniowca rozwiało się jak obłok. Jego strzępki osuwały się na spąg groty.

Tekstowicz nie czekał jednak, aż strzępy zleją się w całość, pomanipulował generatorem i... znalazł się na grani. Siedział wsparty o skalną ścianę. Pod nim kłębiła się omglona bezden przepaści. Mroźny wiatr owiewał i odrywał go od skały, kąsał mrozem przez tropikalne ubranie. Tekstowicz ledwie się trzymał, ale nie wypuszczał generatora z garści. Uzbroiwszy się, nareszcie, w odwagę, przesunął kciukiem pokrętko. A wtedy wichura zadęła ze zdwojoną mocą. Tekstowicz odczuł zawrót głowy. Trzymał się grani tylko jedną ręką. Przymknął oczy. Przypomnił sobie słowa porannego gościa: „Przeżycia te będą rzeczywiste, toteż dokonania i doznania wyniesione z seansu będą prawdziwe.”

Po chwili uniósł powieki. Dostrzegł wówczas zapisany papier, który trzepotał na grani. Dlatego z trudem odczytywał zdania falujące w podmuchach wichury. Wyczytywał opowieść o ludziach, którzy wrócili z kosmosu, a którzy nie zastali swojego świata. Znaleźli jeno rumowiska i zgłiszczą, spuściznę technicznej wojny. Znajoma myśl przemknęła przez mózg Tekstowicza. Spojrzał bystrzej i przekonał się, że skalna grań jest redakcyjnym biurkiem, nawałnica jest strugą powietrza nawiewanego z wirujących wentylatorów, a on sam po prostu zdrzemnął się nad kamiennie nudnym opowiadaniem, nadesłanym przez jednego z autorów.

– Kompletny niedosyt wyobraźni – zamruzczał do siebie poirytowany. A potem cisnął maszynopis do kosza, pomiędzy stare, zużyte, nikomu niepotrzebne notatki. Raptem poczuł, że coś kole go w dłoń. Przybliżył zatem rękę ku oczom i... osłupiał. – W naskórku tkwiły dziesiątki drobnych szpilek himalajskiej koso-drzewiny. To nie wszystko – białe obuwie poszarzało od skalnego pyłu, jaki osiada na spągu jaskiń; w kieszeni uwierlało pudelko, a przecież niczego nie nosił w kieszeniach.

– A jednak jest materialny! – zawołał.